

Kiedys chciałam więcej, dalej, wyżej, głębiej, mądrzej, coraz szybciej, coraz drożej... Nic z tego, co posiadam, nie wzbogaciło mnie naprawdę. Tylko ułatwiło życie, a jednocześnie częściowo je zabrało. Bo o jakim życiu mówimy? O tym, które miało zapewnić dostatek, poprzez materialne symbole dać innym złudzenie, że osiągnęło się odpowiednią pozycję, choć przecież nie przyniosło to przekonania, że stworzyło się coś wartościowego. To za mało na życie, które przemija – myślałam każdego dnia.

ON

– Tato!

Ileż można krzyczeć? Czy te dzieci nigdy się nie męczą? Schowałem się do łóżka w nadziei, że mnie tu nie znajdą, że spokojnie będę mógł pograć na iPadzie, posłuchać muzyki, ponudzić się, nie robić nic. Zawsze kiedy tak właśnie chcę (to znaczy zawsze tak chcę), to właśnie wtedy nie mogę. Jestem potrzebny jak strażak przy pożarze, a przecież nie tak miało być. Nie ja miałem gasić te wszystkie pożary. To całe macierzyństwo – przerekładowana sprawa, kolejna zachcianka mojej żony. I teraz potykam się o różowe skarpetki, spinki noszone w kieszeni wbijają mi się w pupę, korki wnoszą piach do auta. Godziny tracę na boisku do futbolu. Zabiera mi to połowę mojego cennego czasu i wciąż słyszę, że to za mało. A ona?

Moja żona. No właśnie, gdzie ona właściwie jest? Dlaczego nie idzie do dzieci? Przecież ją wołają...

– Tato!

ONA

Czuję się, jakbym płynęła z prądem, jak martwa ryba. Ja z prądem! Tylko nie to! Od kilku lat tkwię w tym samym punkcie, wierząc, że coś się zmieni. Ale jednocześnie nie robię nic, by to zmienić. Co się stało? Kiedy się tak zatraciłam? Dlaczego? Wciąż łudziłam się, że jest miłość między mną a NIM, przecież ona nie odchodzi od tak, trzeba uchylić jej okno, otworzyć drzwi, wypuścić z rąk...

Jednocześnie z każdym nowym dniem czułam, jak zaciska mi się pętla na szyi. Przy nim traciłam powietrze, traciłam grunt pod nogami. Traciłam siebie. Muszę coś zmienić, dać duży krok naprzód, myślałam. Nie mogę się bać. Inaczej rozpadnę się na kawałki, ja i mój cały świat, a przecież nie mogę. Mam dzieci. Tylko dzieci i siebie.

Patrzę w dal na swoje życie, na możliwości, jakie miałam. Na decyzje, jakie podjęłam. Pamiętam, gdy mając dwadzieścia lat, spytałam moją mamę, czy czegoś żałuje. Powiedziała mi wtedy, że mnóstwa rzeczy. „Jak można żyć żałując?” – dziwiłam się. Dziś widzę, ilu ja rzeczy żałuję...

ON

Ona... kiedyś moja miłość. Dziś matka moich dzieci. I to by było na jej temat tyle. Brzmi może okrutnie, ale czy życie takie nie jest? Dlaczego miałbym być inny? Żeby się przypodobać? A po co? Jestem prosty jak każdy facet, niektórzy tylko udają lepszych, bardziej skomplikowanych, czułych... Też kiedyś to robiłem. Dlaczego? Bo zależy nam na tym samym. Czy kobiety nigdy nie rozumieją, że facet jest prosty? Mówi

komplementy, kupuje prezenty, kwiaty, gdy czegoś chce. My dobrze wiemy, kiedy kobieta pragnie coś usłyszeć. Kiedyś też jej mówiłem, że jest piękna, szczupła... dziś milczę lub mówię wprost „staruszek”. No co... postarzała się. Kiedyś była jak znikający punkt. Podniecało mnie to, ale czy to lubiłem? Nie, nigdy! Brak logicznego myślenia. Była jak jej matka. Anarchistka. Udawałem przez lata sympatię do niej, bo wiedziałem, że jak będę ją lubił, moja pozycja w oczach jej córki wzrośnie. Proste, nie?

Dlaczego tak mi na niej zależało? Bo byłem próżny, a ona piękna, miła w dotyku, ludzie się nią zachwycali. Chciałem, żeby była moja, żeby przez to podziwiali też mnie. Ona była wyzwaniem, byle kto do niej nie podchodził. Szła przez życie stanowczym krokiem. Gdy patrzyła, potrafiła dotrzeć do wnętrza, gdy się uśmiechała, paraliżowała. I dlatego inni mężczyźni chowali głowę w piasek, uciekali, myśląc, że ONA nie jest dla nich. Mieli rację. Była dla mnie. Oni woleli żyć normalnie, szaro, cicho. Z nią się tak nie dało. Za nią trzeba było biec, domyślać się, czego chce. Nie wolno było zostawiać, trzeba było być opiekuńczym, czułym... Oni do tego nie dorosli. A ja?

Kiedyś rozbudzała we mnie ogień, była nieprzewidywalna, w ciągłym biegu. A teraz chodzi i marudzi, że wszystko robi sama, że jej nie pomagam, że mógłbym poczytać dzieciom przed snem, zabrać na rower, na plac zabaw, dać buzi na dobranoc. Zarabiam przecież na dom. To jej nie wystarczy?

Pamiętam nasze początki. Nieprzespane noce, rozmowy do rana, seks, smsy gdy spałem. „Ja nie śpię, bo nie spotkałam mężczyzny, przy którym mogłabym spokojnie zasnąć, byli tylko tacy przy których i anioł nie śpi”, pisała.

Znałem ją dobrze. Rozgryzłem bardzo szybko. Wiedziałem, jaki miałem być, by jej nie stracić. Była nieobliczalna i szalona, ale prosta w obsłudze. Spytałem ją, czy nie musi rano wstać, odpisała, że ona nie, ale że ja na pewno, bo moje buty już na to czekają.

Była urocza, cała emanowała wdziękiem.

Kochałem w niej absolutnie wszystko – to, w jaki sposób patrzyła na świat, jak potrafiła gonić wiatr, tańczyć na łące. Była dla mnie wyzwaniem.

Dzisiaj już ją mam, zdobyłem, jest moją codziennością. Czy codzienność może podniecać?

ONA

Patrzę w lustro i co widzę? Trzydziestopięcioletnią kobietę. Wciąż piękną, ale smutną. Gdzie ta radość? Kiedy sobie poszła? Dlaczego jej nie zatrzymałam?! Nie zauważyłam nawet, gdy odchodziła. Jeszcze niedawno byłam taka szczęśliwa, unosiłam się nad całą stertą beznadziejnych spraw, czułam się lekka jak piórko, miałam niespokojną duszę, wszędzie i zawsze chciałam być. Ryzykowałam, żyłam szybko, gdy czegoś chciałam to całą sobą, natychmiast!!! Liczyło się tylko to, czego pragnęłam najmocniej...

Gdy się zakochałam, a rzadko mi się to zdarzało, chciałam z NIM już wszystkiego. Bez znaczenia, gdzie, kiedy i jak. Bez opamiętania, bez zastanowienia. A przecież wystarczyłoby się tylko zatrzymać, uważniej przyjrzeć.

To był maj, leciałam na służbowe spotkanie do Madrytu. Pech chciał, że ON też postanowił lecieć tym samym samolotem. Wracał do domu. Podszedł do mnie i spytał, jak mam na imię. Banalne, nie? Mruknęłam, że nieważne, bo i tak spotkaliśmy się nie w porę. Złapał mnie władczo za rękę, przyciągnął do siebie i szepnął – „każda pora jest dobra, żeby się spotkać. Udowodnię ci to”. I co było dalej? Po sześciu miesiącach wzięłam z nim ślub. Nie zdążyłam mu się nawet dokładnie przyrzec. Był kolorowy jak ptak, przystojny jak Bruce Willis, dawał nadzieję na aromatyczną poranną kawę i radość. Oddałam mu swoje serce i duszę, jakbym oddawała komuś zniszczone kapcie. Czasami takie zdarzenia poprzedzone są zaręczynami,

ale ja zbyt szybko żyłam, żeby zawracać sobie głowę czasochłonnymi głupstwami.

Wzięłam ślub w sprinterskim stylu.

Niektórzy nazywają to miłością od pierwszego wejrzenia. Inni brakiem rozumu. Jeszcze inni totalną lekkomyślnością.

I jeśli chodzi o mnie – wszyscy mają rację.

Zrobiłam dla niego wszystko. I wszystko zrobiłam. Zmieniłam kraj, zrezygnowałam z pracy, którą uwielbiałam. Nic nie zapowiadało tego, co nastąpiło później, ale prawdę mówiąc, ten koniec dał się przewidzieć już wtedy, gdy stałam naprzeciwko niego w kościele, nie mogąc wypowiedzieć słów przysięgi, tej samej, którą przez lata powtarzają zakochane i wpatrzone w siebie pary. Nie tworzyliśmy jednej z nich? A ile ich było? Ile przetrwało? Gdzieś skrycie wierzyłam, że nam będzie dane być razem na zawsze i wchodziłam w ten związek mocniej i głębiej. Angażowałam się, jakbym była na misji dyplomatycznej. Suwerenność! Jaka ja byłam wtedy suwerenna! Co za pomysł, żeby w środku mroźnej zimy przysięgać sobie miłość!!! Stałam wtedy z odkrytymi ramionami w zimnym kościele, na zewnątrz szalała wichura śnieżna. Patrzyłam w jego zielone oczy i nie mogłam wypowiedzieć słowa. Gdyby nie ksiądz, który złapał mnie za rękę i szepnął do ucha, że będę powtarzała przysięgę tak długo, aż powiem, uciekłabym z tego miejsca. Przecież go kochałam, widziałam już nasz dom pełen dzieci, psów i zieleni. Szkoda, że tylko ja.

Dziś dobrze wiem, że wszystko co ON mi mówił kiedyś, to było to, co chciałam usłyszeć – tak, dokładnie mi to powiedział. „Chcesz dom, dzieci, psa? Dobrze, wszystko będziemy mieć, wszystko czego pragniesz”. Kłamał. Chciał mieć mnie i płacił pięknymi słowami, w które ja tak naiwnie wierzyłam. Zaufałam mu, po kilku miesiącach spakowałam się, wynajęłam mieszkanie i pojechałam do słonecznej Italii. Liczył się tylko ON. Mój mąż. Walczyłam o nasz związek każdego dnia. Nie było łatwo. On to facet z ogromnym bagażem na plecach,

mnóstwem kobiet, dzieci i ich historii w tle. Tak bardzo pragnęłam mieć z nim dziecko, że zablokowałam się, wysłuchując w kółko o jego synku z poprzedniego związku. Byłam tak ślepo zakochana, że nie dostrzegłam, że on już dawno miał wszystko, czego ja dopiero tak bardzo pragnęłam. Uparł się, by w trakcie naszych romantycznych wieczorów opowiadać, jak to za nim tęskni, a gdy reflektował się, że przesadził, dodawał: „wiesz, to był taki przypadek, pomyłka, wpadka...” – i biegł do niego, nim ja zdążyłam otworzyć oczy. Było mi źle. Każdego dnia coraz gorzej. Szukałam rozwiązania, czułam się coraz bardziej samotna. Aż pewnego dnia znalazłam! Postanowiłam pójść na kolejny fakultet – projektowanie wnętrz. Przecież to było przeznaczone mi od dawna, przekonywałam samą siebie. Zgodził się, bo to mieściło się w jego strategii gry, że nie można zabronić swojej kobiecie realizacji marzeń.

A ja chciałam tylko jednego – wyjechać od niego, odejść, odkochać się, zapomnieć. Planowałam już dalekie podróże, życie tam, gdzie są najpiękniejsze zachody słońca. Pożegnałam marzenie o rodzinie. Wróciłam do Polski. ON został w Rzymie. I właśnie wtedy... wtedy okazało się, że jestem w ciąży. Właśnie wtedy, gdy znów nabrałam wiatru w żagle, zebrałam siły, by stanąć na własnych nogach, by pożegnać jego świat i wszystko zacząć od nowa. Właśnie wtedy los zawrócił mnie na ten tor.

Przestawałam w nas wierzyć, a jednak łudziłam się, że ciąża coś zmieni. Przed jego przyjazdem pobiegłam na USG. Chciałam przywitać go zdjęciem z badania. Jaka ja byłam szczęśliwa. Wyobrażałam sobie, że wychodzi z samolotu, biegnie do mnie, by jak najszybciej mnie przytulić, po drodze gubiąc walizki. Taka kiczowata, bollywoodzka scena, a co? Czy czasem odrobina kiczu nie jest potrzebna w życiu? Już widziałam w wyobraźni jego radość. To cud – myślałam, jadąc do lekarza. Zabrałam ze sobą Ankę, mocno ją trzymałam za rękę. Byłam taka podekscytowana.

– Nic nie widzę – oznajmił lekarz po piętnastominutowym badaniu.

– Jak to?

– Musimy poczekać dwa tygodnie. Jest jakiś pęcherzyk, ale to mi wygląda na ciążę pozamaciczną – powiedział lekarz.

Ciąża pozamaciczna!? Popłakałam się.

– Ty zawsze coś wymyślasz! – przywitał mnie ON następnego dnia.

Po czterech dniach ciąża pozamaciczna okazała się ciążą prawidłową. Mała istota rosła we mnie. Wszystko wróciło do normalności, ale nie ja. Mimo że byłam coraz większa i grubsza, że było mnie coraz więcej, czułam, jak coraz mniej znaczyłam. ON każdego dnia niszczył moje marzenie o szczęśliwej rodzinie. Dzielił swoje życie między dwa domy, w dwóch różnych państwach. Będąc z nim, byłam sama. Nie mogłam tak żyć. Na lotnisku, przed jego kolejnym odlotem, przytuliłam go mocno i wsunęłam list do jego dłoni.

– Przeczytaj go, proszę – szepnęłam.

Odchodząc płakałam.

Kochany,

kochałam w Tobie wszystko, twoją przeszłość, teraźniejszość i przyszłość, te wszystkie wspólne marzenia, które roztrzaskują się dziś jak szklana kula. Wierzyłam w nas. Dawałam z siebie wszystko. Czasem więcej, niż mogłam zrozumieć, udźwignąć. I w chwilach, w których powinnam być może wyjść, gdy mówiłeś „to odejdz”, zostawałam, tracąc swoją godność. Ale jakie to miało wtedy dla mnie znaczenie? Liczyłeś się tylko Ty.

Chciałam o nas walczyć, o naszą przyszłość, bo wierzyłam, że to, co jest między nami, jest niepowtarzalne. Dziś też to wiem, ale już nie mam siły walczyć o to sama.

Powiedziałeś mi kiedyś, że może kochamy się za mocno, że może są w nas emocje, nad którymi nie potrafimy zapanować. Nie można kochać za mocno. Można tylko za słabo...

Gdy się poznaliśmy, szepnęłaś: „mogę ci dać tylko siebie” i skłamałaś. Kazałaś się sobą dzielić od samego początku. Mówiłaś: „chciałbym, żeby wszystkim było dobrze”, a ja pragnęłam, żeby to NAM było dobrze. Wiem, myślałaś, że jak już mnie masz, to mogę chwilę postać „na bocznym torze”, do czasu, aż ty sobie wszystko poukładasz z Sophie, oczywiście dla waszego synka. Nas odkładałaś na później... Tylko czy to twoje później nie stało się za późno?

Mówisz, że w dniu ślubu podjąłeś decyzję. Nie. Tylko przysięgałaś, że będziesz ze mną, że będziesz mnie kochał i się mną opiekował. Ślub, choć znaczy tak dużo, nie należy do poświęceń na całe życie, bo za tymi słowami muszą iść też czyny. Zaufałam Ci. W ciągu kilku dni zamknęłam cały swój świat (nieważne jaki – fajny czy niefajny – mój) i łapiąc Cię za rękę, poszłam Twoją drogą. Przy wyjeździe z Polski zatrzymałam się, by poprosić Cię, byś się mną opiekował. Pamiętasz? Powiedziałam Ci wtedy, że mam tu tylko Ciebie. Mówiłam, że jak będziesz pokazywał mi swoją siłę, a ja będę samotna i zagubiona w obcym kraju, to wszystko się rozwali. Pamiętasz ten moment? Bo ja gdy go sobie przypominam, czuję, jak łzy napływają mi do oczu...

Dobrze wiesz, że ten czas w Rzymie wspominam jako koszmar, jako wyrwę w swoim życiu, jako coś, o czym chcę zapomnieć i nigdy do tego nie wracać. Tak, mieliśmy też piękne chwile, ale ile ich było w porównaniu z tymi łzami?

Mówiłaś mi: „Nie możesz do mnie dzwonić, gdy jestem u syna, tak się umówiłem z Sophie, by móc go widzieć”. Byłam Twoją żoną! Jak mogłaś się tak umówić?! Od początku byłeś nie w porządku, a zarzucałaś mi, że to ja grałam nie fair. Ja? Gdzie byłam? Czekałam na ciebie. Ze wszystkim musiałam radzić sobie sama. „Jadę zrobić zakupy, zamontować półeczkę, kupić buty, iść na spacer... – wiesz, muszę teraz dbać o te kontakty z Sophie, a ty przecież wiedziałaś, że mam dziecko, nie?” – powtarzałaś jak katarynka. I co miałam w takich momentach zrobić? Mogłam tylko spakować się i wyjechać. A zamiast tego

prosiłam: „Zrób coś, czuję się, jakbym była w Twoim życiu na ostatnim miejscu”. Czasami zdawało mi się, że wcale nie ma w nim miejsca dla mnie, choć tak bardzo byś mnie tam chciał... Wtedy mi się jeszcze tak zdawało. Dzisiaj już to wiem. I Ty też o tym wiedziałeś. Pamiętasz? – to był gorący wieczór. Siedzieliśmy w ogródku La Riviera, piliśmy ciężkie czerwone wino, gdy powiedziałeś: „Boję się, że ty tego nie wytrzymasz”. A co robiłeś, żebyś wytrzymała? Co zrobiłeś, żebyśmy dzisiaj nie znaleźli się w takiej sytuacji?

Być może powiedzieliśmy sobie za dużo słów w stylu „odejdz, wyjedź, zmień faceta, rozwiedź się...”. Pamiętam też, z jakim zafascynowaniem mówiłeś o porodzie Sophie, o tym, że nie zdążyłeś, a tak bardzo chciałeś (tak bardzo pragnąłeś!!!) przeciąć pępowinę, o tym, że z nią mieszkałeś i dzieliliście jedno łóżko, gdy była w ciąży (bo niby nie miała gdzie mieszkać), a już wtedy my byliśmy razem, że byłeś z nią na badaniu USG, może nawet kilku... Szkoda tylko, że o tym wszystkim powiedziałeś mi już po ślubie. I przed naszym dzieckiem. Dziś ja jestem w ciąży... Jak mam Ci teraz opowiedzieć o swojej samotności? O strachu?

ON

Było różnie między nami, ale jakoś tam zawsze było. Nastąpił też już kiedyś prawie koniec. Ona po śmierci swojej mamy złożyła pozew rozwodowy, a ja głupi o nas walczyłem. Czy ją kochałem? Nie wiem, nie chciałem przegrać z innym. Wiem, że zawałęm przez te lata, że mnie nie było, że nie zrobiłem nic, by to naprawić, ale nie spodziewałem się, że ona będzie chciała odejść. Erik miał wtedy dwa lata, nie miała wsparcia, nie miała nikogo. Nie rozumiałem, dlaczego chce odejść. Wróciła do swojego eks. To ona powiedziała „dość”, zrobiła krok do przodu z kimś innym. Zostawiłem wszystko, by o nią wtedy walczyć. I co? Wygrałem, znów wróciliśmy do Włoch i jesteśmy tu, gdzie jesteśmy. Wróciła do mnie, wycofała pozew,

ale dla mnie to było wciąż za mało. Nie potrafiłem sobie poradzić z tym, że odeszła do tamtego, że zawsze, gdy było źle, wracał jej eks. Fakt – nie dbałem o nią, nie wspierałem, często sam go przywoływałem, mówiąc: „Idź do niego, już nie czeka? Już cię nie chce? No idź!”

Nie zrobiłem resetu, jaki sobie obiecaliśmy. Nie wymazałem tego wszystkiego, co było w mojej głowie. Nie umialem. Tak naprawdę chyba obydwójce zawaliliśmy. Ale ja nie potrafiłem jej tego wybaczyć. Tłumaczyła, że po odejściu jej mamy była zagubiona, że potrzebowała się odnaleźć. Takie czcze gadanie. Kłóciliśmy się prawie każdego dnia, ona płakała. Nie było tak, jak ja bym chciał. „Potrzebuję czułości, miłości” – powtarzała, a ja chciałem seksu. I tylko seksu. Chciałem wziąć to wszystko, co wziął tamten. Tylko na tym mi zależało. Przewstawałem ją kochać i wtedy nagle ona oznajmiła mi, że jest w drugiej ciąży...

kilka lat później...

ONA

Miły człowiek od czasu do czasu wybuchający śmiechem, trochę jak ten jajogłowy koleś z kreskówki nadawanej w MTV. Astrolog, z wykształcenia fizyk. Marek. Nowoczesne wnętrze mieszkania, kojący widok za oknem na młode drzewa, na ścianie rysunek przedstawiający układ gwiazd, na biurku portret jego duchowego przywódcy, jakiegoś mistrza ze Wschodu, a na kanapie naprzeciwko niego ja. Pomysł Ani, mojej przyjaciółki.

Ania... piękna i delikatna jak anioł. Włosy niechlujnie rozwiane, dopasowane jeansy, czerwone szpilki, marynarka, T-shirt. Atrakcyjna, intrygująca kobieta. Połączenie Jolie i Kidman, coś – wydawać by się mogło – niemożliwego. A jednak. Dlatego gdy się pojawiała, rozsiewała coś w rodzaju nadziei podszytej niepokojem. Miałam wrażenie, że jako starszka też będzie robić na wszystkich wrażenie.

Uwielbiałam ją każdego dnia mocniej, od chwili gdy ją poznałam. Słuchałam jej, wierzyłam w każdą radę. Dziś też jej zaufałam, choć nie wiedziałam, co ją naszło, by mnie na to namówić? Od tygodnia mówiła tylko o nim, jaki to on genialny i że muszę się sama o tym przekonać. Ania na co dzień była racjonalna jak mało kto, choć popełniała w życiu szalone głupstwa. Jednym z nich był, no tak... romans z żonatym mężczyzną,

ciągnący się jak przygotowania do wyprawy na australijską pustynię. Ślub nie z tym facetem. „Pomyłki to rzecz ludzka” – powtarzała, jakby wybrała nie ten rodzaj sera. Razem z Anią dorastaliśmy, razem stawałyśmy się kobietami, razem walczyłyśmy z przyszczami, z lękiem przed pierwszym pocałunkiem, płakałyśmy przy rozczarowaniach. I razem popełniałyśmy te same błędy. Nasze problemy rosły razem z nami. Czasem nas też przerastały, ale we wszystkim byłyśmy razem.

Ania twardo chodziła po ziemi, mało co było w stanie nią zachwiać. Nie ulegała żadnym modom, trendom, dziwnym filozofiom, a tym bardziej horoskopom i astrologii. A jednak, jednak mnie tu przywlokła.

– Nie mogę już na ciebie taką patrzeć, rozumiesz? Zrób coś ze sobą.

Astrolog wyglądał jak prymus na doktoranckich studiach jakiegoś uniwerku z Ligi Bluszczowej, tam gdzie są najlepsi gracze w baseballa. Przyjrzał mi się uważnie, po czym radośnie powiedział.

– O! Spokojnie, nie jest aż tak źle! Nie ma powodu, żeby już teraz miała pani, mówiąc wprost, odwalić kitę. – I po chwili dodał: – Ale na miłość boską, niech pani wreszcie coś ze sobą zrobi – spojrzał na mnie z naganą.

– Jakie „coś”?

– No coś, niech wreszcie przestanie pani siebie niszczyć. Dlaczego tak pani siebie nie lubi? Po co pani tak siebie zwalcza? Dlaczego wraca pani do własnego domu przez biegun północny?

– Bo... Kolumb to mój ulubiony bohater?

– No co pani, co ma Kolumb do bieguna.

Nie poznał się na moim dowcipie.

– Z panią to właśnie tak zawsze – niby idzie pani po drodze, a stale wdrapuje się pod górkę. Co też pani robi? I to jeszcze na obcasach! – znów spojrzał na mnie z naganą.

Sama zaczynałam tak na siebie patrzeć.

– Niech pani wrzuci na luz. Czemu tak surowo pani siebie traktuje?

– No już mówiłam panu, że kilka lat temu nawet zawlokłam się do psychiatry, bo wpędziłam się w depresję...

– Całe szczęście, że pani wreszcie ją miała. Ale mnie chodzi nie o to, żeby pani sprowadzała siebie do parteru, czyli żeby zrobiła sobie podwójnego nelsona, ale pogładziła się po głowie. Przecież sama pani mówi, że to lubi, tak?

– No tak.

– Dlaczego pani sobie tego nie robi?

– Sama?

– Kiedy pani ostatnio ze sobą spokojnie, tak po przyjacielsku, porozmawiała, tak szczerze?

– Mam ze sobą gadać? – zdziwiłam się.

Równie dobrze mógłby do mnie powiedzieć: „Proszę śpiewać jak w operze, żadnego gadania, proszę pani, tylko arie, arie, powtarzam, arie, jak w „Cyruliku”...

– Mam gadać do siebie: „Oliwka, no co ty...?” – próbowałam się upewnić.

– A są jakieś inne rozwiązania? – spojrzał na mnie zdziwiony, choć tak jakoś obok, jakby zobaczył przelot bocianów nad Sewillą... – To taki wstęp do tej mojej arii...

– Przecież chyba nie będzie pani mówić do siebie: „Janie”. A może będzie?

– Ale mnie pan przejrzał... – uśmiechnęłam się od niechcienia.

Gdy ja walczyłam z załamaniem nerwowym, on sobie ze mnie kpił, podrzucając słowa jak piłkę.

Wreszcie spojrzał na mnie serio.

Roześmieliśmy się.

Podał mi herbatę. Z cytryną.

Zrobił mi kisiel. Malinowy.

Zaczynałam mieć odczucie, że ten astrolog jednak rozumie jakiś inny język.

Czułam, jak wraz z zapadnięciem się w fotelu, grzęzłam w atmosferze jego słów.

– Ma pani rozmawiać ze sobą. Może pani przy tym stać przed lustrem, siedzieć na krześle i jeść jajko, może pani pokrzyknąć na siebie z góry, choćby z wysokości stołu (bo może się okazać, że z tej pozycji inaczej się siebie widzi, gdy się ze sobą gada). Ma pani słuchać siebie uważnie, jakby pani na sobie bardzo zależało. Bo przecież tak właśnie jest, czyż nie?

– Jasne.

– To czemu pani o sobie zapomniała? Tej energii ma pani starczyć jeszcze na wiele lat (tu rzucił datę, która w tamtym momencie, uff..., wydała mi się tak miło i bezpiecznie odległa). Rozumie pani, że ma się pani zmienić?

– No już dobrze, niech już mnie pan do tego nie zachęca. Ależ ma pan dar przekonywania. Nawet Anglików namówiłby pan na podręczniki o koszeniu trawy, nawet krowa kupiłaby od pana mleko.

– Jakie znowu mleko?

– No, od krowy, takiego zwierzęcia, które pasie się na łące i daje mleko... – plotłam bez sensu.

– Praca – kontynuował – praca panią lubi. Pani też ją lubi. Ale wolno pani pracować tylko kilka godzin dziennie, nie kilkanaście. Niech pani nie ucieka przed problemami w pracę. To ma być pani pierwsza zasada, musi pani się do niej zastosować. Proszę zapamiętać, że pani jest potrzebna praca, a nie pani ma służyć pracy, zrozumiano?

– I musi pani oddychać. Oddychać! – krzyknął.

– Tak, tak, już zaraz...

– Chce pani coś jeszcze wiedzieć?

– Tak, o moim mężu...

– Co chce pani o nim wiedzieć?

– Czy są inne kobiety w jego życiu?

– Ale po co to pani? – spytał.

– Jak to? – zdziwiłam się. Nie układało się nam, to fakt, ale nawet przez chwilę nie podejrzewałam, że przyczyną mogłaby być inna kobieta.

– No po co pani chce sobie tym zaprzętać głowę? Mało ma pani spraw? – mówił patrząc w monitor komputera. – Może mieć i pięć kochanek, ale to nie pani problem. Tylko i wyłącz nie jego. Nawet jeśli ma, za każdym razem, gdy wróci do domu i spojrzy na panią i dzieci, zapomni, że je ma.

Łał! Szał. Super. Bomba! Będzie bzykał, co się da i gdzie się da, do momentu, gdy spojrzy na mnie. To niech nie patrzy.

– Proszę mi powiedzieć „tak” lub „nie”. To dla mnie ważne.

– Nie, to nie jest teraz dla pani najważniejsze. Pani, a nie on, się liczy. Inne sprawy w pani życiu są teraz ważniejsze. Niech pani o tym pamięta. Musimy już kończyć.

Wydałam pięć stów i nie poznałam odpowiedzi na najważniejsze pytanie dotyczące mojego życia. Wiedziałam tylko, że mam oddychać i gadać do siebie. A niby jak miałam to robić, gdy brakowało mi tchu?! Zwłaszcza teraz!

ON

Pachniała zmysłowo. Patrzyła, jakby wpatrywało się we mnie kilka kobiet i każda z nich pragnęła mnie bardziej i bardziej. Jakbym był muzą Dalego, stwórcą świata. Gestykulowała. Dobrze znałem te gesty. Wyglądała tak samo świetnie, a może nawet lepiej niż wtedy, gdy widziałem ją ostatni raz. A przecież minęło tyle czasu. Dużo, ale patrząc na nią, doskonale wiedziałem, że dużo odnosiło się do innych kobiet – tam było zdecydowanie dużo za dużo ciała, cellulitu, zmarszczek. Ula nie miała z tym problemu. Była perfekcyjna pod każdym względem, warta każdego grzechu.

– Pięknie wyglądasz – szepnąłem.

– Tak? Myślałam, że podobam ci się bardziej nago...

Fakt, rzuciłem banalny komplement i dostało mi się. Szukała uznania swojej osoby w moich oczach, a to przecież ja czekałem, aż obdarzy mnie choć jednym miłym zdaniem. Nie zrobiła tego. Szczerze mówiąc nie musiała, widziałem zachwyty w jej oczach. Ogólnie mało mówiła. Wspomniała o wakacjach, z których właśnie wróciła. Opowiadała o interesach, podróżach, celach...

– Z mężem wszystko OK? – spytałem nagle głupio, jakby cokolwiek mnie to interesowało... Miałem o niego nie pytać. Co mnie obchodził drugi facet!

– Świetnie – powiedziała. – Właśnie się rozwiedliśmy.

U niej zawsze było świetnie. Kiedy bzykała się ze mną, gdy mąż czekał w domu, też było świetnie. Na każde zadane pytanie zawsze odpowiadała „świetnie”. Tylko dlaczego to „świetnie” do mnie nie trafiało. Znałem ją, a przynajmniej tak mi się wydawało. Próbowałem jej uwierzyć. Tak byłoby dla mnie łatwiej. Może też dla niej, ale jakoś nie potrafiłem.

– Po co chciałeś się ze mną zobaczyć? – spytała.

I znów nagle, nie wiedząc czemu, rzuciłem: „Chciałbym poznać twoją córkę”.

Przez głowę przeleciało mi wiele naszych wspólnych chwil i marzeń, których nigdy razem nie spełniliśmy. Jedno z nich, największe, no właśnie... dziecko. Ona tego pragnęła, gdy moja żona była w drugiej ciąży z Lee. Ula wtedy też walczyła, by mieć dziecko ze mną. Potem się rozstaliśmy. Powód banalny – moja rodzina. Chociaż nie byłem już wtedy szczęśliwy. Tak naprawdę już od tamtej chwili nie chciałem być z moją żoną. Nie chciałem też tego dziecka. A Ula chciała być ze mną, tylko postawiła mi warunek – odejście od żony. Nie mogłem jej wtedy zostawić. Może jestem skurwysynem, ale nie umiałem tak po prostu odejść z dnia na dzień. A więc zdradzałem ją.

– Wiesz, to zabawne, ale odkąd mam Amelię, wszystko chcę robić z myślą o niej. Chcę dla niej wybudować żłobek,

przedszkole, potem szkołę. Bo przecież – zaśmiała się – w dzieci trzeba inwestować od małego. A więc robię to – warsztaty plastyczne, muzyczne, ceramiczne, taneczne, spadochronowe, pogłębianie inteligencji emocjonalnej, rozwojowej i jeszcze sto innych zajęć.

Ależ ona gadała głupoty! I jaka była przy tym piękna, jak się uśmiechała! Ale ja byłem głupi! Nagle poczułem, jak bardzo zrobiło mi się przykro. Spojrzałem na nią. Siedziała naprzeciwko mnie kobieta słaba, opuszczona, spragniona dotyku, miłości. Patrzyłem na nią i znów czułem smutek, ten sam, a może inny, ale jak bardzo podobny do tego sprzed pięciu lat, gdy opuszczałem jej apartament po raz ostatni, pozbawiony jakichkolwiek złudzeń, ciepłych emocji i uczuć. Poczułem, jak nogi się pode mną uginają, jak serce się topi.

Zapaliła papierosa, spojrzała na mnie. Zobaczyłem w jej oczach tęsknotę. Tęsknotę za tym, co nas ominęło.

Nie mogłem dłużej w tym uczestniczyć.

– Przepraszam cię za wszystko. Muszę iść – skłamałem.
– Zapłacę rachunek u kelnera.

Położyłem serwetkę na stole i wstałem. Ona też wstała, złapała mnie za rękę i przyciągnęła do siebie.

– Kiedy mnie znowu mocno przytulisz, jak kiedyś? – szepnęła.

ONA

Gdy maluję usta na czerwono, myślę – moje usta wyglądają jak otwarta rana. I to jest jedyne wyobrażenie na temat rany. Inne mi są niepotrzebne. Nie chcę rozpamiętywać cierpienia, pławić się w nim i robić z niego martyrologii życia. Wiadomo, każdemu jest czasem gorzej. Dlaczego więc teraz, chociaż czuję się podle, miałabym to zmieniać, rozmyślać i rozpisywać się na obcy mi temat? Niech robią to inni. Potrafią to robić czule, wszystko jest w ich opowieściach precyzyjne,

dokładnie omówione, przegadane, wypowiedziane do cna, jakby dostali od losu darmową reklamę w zamian za to, co ich spotkało. Umieeli to przyjąć jako życiową rolę, jak żołnierz, który zatknął flagę swojego kraju na siedzibie wroga i wciąż karmi siebie i innych tylko tą sceną. Niektórzy lubią ich słuchać, tak jak uwielbiają oglądać takie, wydawać by się mogło, przełomowe chwile. Ktoś wszedł na Everest, krzyki radości, jest! Ale to jak zszedł i gdzie dalej poszedł – już jest dla nich nieważne. A dla mnie jest. Ktoś dostaje Oscara, wow, dziękuję, płaczemy ze wzruszenia razem z nim, wierzymy w te łzy szczęścia, jak w szloch Halle Berry, która dziękowała mężowi za sukces. Była w tamtej chwili taka piękna, jakby stworzona do szczęścia. I co? Facet ją wkrótce po tym zostawił. Oscara też... Ktoś wygrał konkurs fortepianowy, wow, uśmiecha się, ale co było dalej?

ON

Co za kobieta! Nawet nie potrafi prawidłowo rozwiesić prania. Zdejmuje poprzednie spinacze i zostawia tam, gdzie było pranie. A tyle razy jej mówiłem, żeby wieszala w jednym rzędzie. Jeden obok drugiego. Czy to takie trudne do zrozumienia?

Nie skomentowała tego, ale chyba tylko dlatego, że dzieci były obok. Oznajmiła, że idzie biegać. Jestem pewien, że zrobiła to specjalnie, wiedząc, że ja na ostatnim moim treningu nabawiłem się kontuzji i muszę tkwić w domu jak więzień w celi. Wróciłem więc do łóżka i czułem się jak mech na dobrze wysłanej ściółce. Przed wyjściem spytała mnie, co z dziećmi? Jakie plany? Co robimy, bo przecież jest weekend? Jak to, jakie plany? Ja jestem facet bez planu, nie planuję nic. Oznajmiłem jej, że od trzynastej do siedemnastej mnie nie ma. Spytała, czy jestem w domu, czy mogę zostać z dziećmi. Powtórzyłem, że mnie nie ma. A co to za różnica, czy na kanapie, czy na spa-

cerze. Nie ma to nie ma. Wyszła. Trzasnęła drzwiami. I dzieci od tego momentu się drą! Co za bezduszna kobieta! Jak mogła je tak zostawić?

Przykryłem się szczelniej, po samą głowę, w nadziei, że odgłosy ucichną. Jedna, dwie, trzy... pół minuty ciszy. Uff!

– Tato!!!

Nie jest jeszcze źle. Krzyki są głośne, na płacz się nie zanosi.

– Już – krzyczę i włączam iPad. Muszę przecież pokonać Zoombie, by przejść na kolejny poziom.

Walę ręką w podłogę, by zmylić małą Lee, że już idę. Uwierzyla. Mam dziesięć minut spokoju, bo zanim dojdę, zapomni, że szedłem...

– Chcemy jeść!!!

ONA

Biegnę... Wreszcie jestem tylko ja i nic poza mną. Chcę wyłączyć mózg, serce, myśli. Chcę odnaleźć siebie. Oddychać! Choć na chwilę spytać samą siebie, czego chcę. Czy kogokolwiek to jeszcze interesuje? Tak, oczywiście mnie. I prócz mnie chyba już nikogo więcej. Tak, mam męża i dwójkę dzieci. Mam, ale jakbym nie miała. Powinno ich interesować, ale pewnie tylko to, czy jest coś do zjedzenia, czy kupię im coś nowego i czy wieczorem będę miała ochotę na seks. Może i będę... ale nim o tym pomyślę, pewnie zasnę, a rano usłyszę, że jestem już stara i chodzę spać po dwudziestej trzeciej. Jakiś czas temu chciałam kupić psa, bo chociaż mam trzy osoby w domu, czuję się wśród nich samotna jak nigdy. Myślałam wtedy, że przynajmniej on, ten mój mały piesek, którego nazwałabym Coco (na cześć mojej ulubionej projektantki), niczego by ode mnie nie chciał. Położyłby swój pyszczek na moich kolanach, spojrział na mnie i to już by mi wystarczyło. Mój mąż, gdy oznajmiłam, że chcę kupić psa, dał mi wybór – „Albo pies, albo ja”. Pewnie, że wybieram psa...!

*Dalsza część książki dostępna w wersji
pełnej.*

